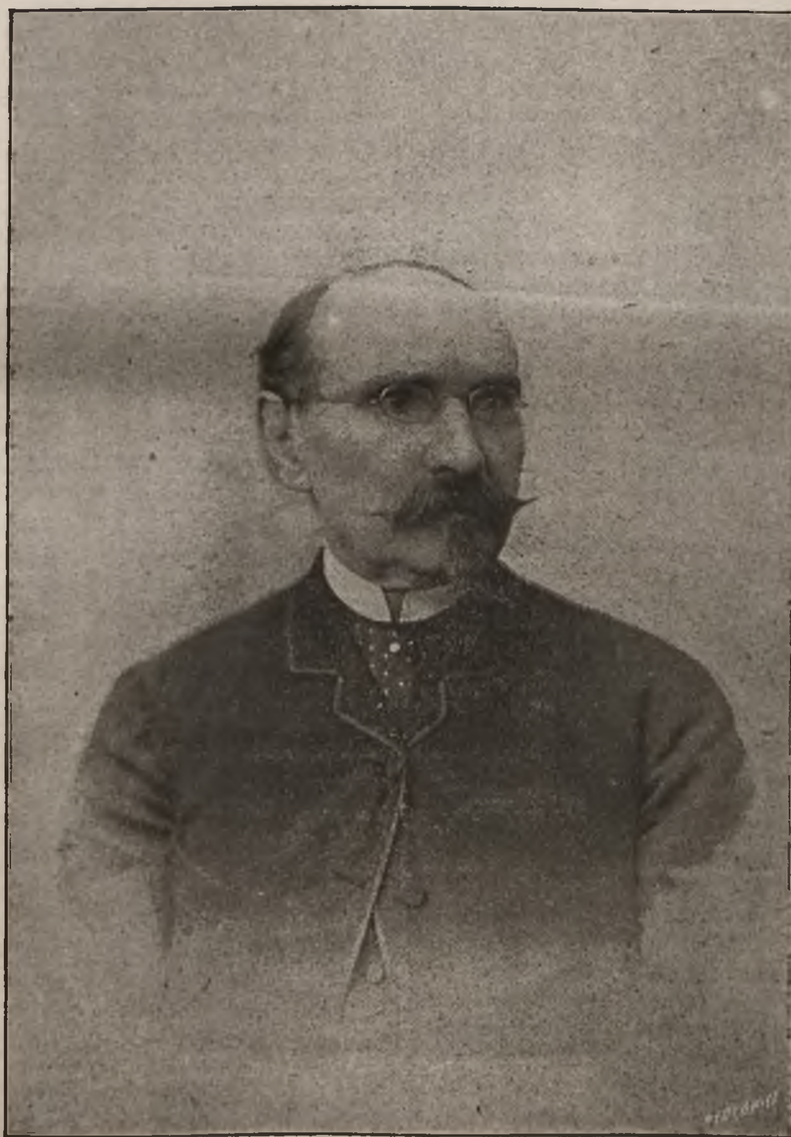
Nr. 24. We Lwowie dnia 17. czerwca 1895 Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



JAN ZACHARJASIEWICZ.

Jubileusz Jana Zacharjasiewicza.



Czterdziestolecie literackiej pracy Jana Zacharjasiewicza obchodzimy obecnie we Lwowie, jako w miejscu, gdzie talent jego się rozwinął i skąd roztoczył na całą Polskę blaski swojej sławy. Jeżeli dla społeczeństwa ma wielką wagę jubileusz każdego talentu samodzielnego, każdej pracy twórczej, bo to są najdobitniejsze dowody żywotności narodu, tętna serca jego, to o ileż większej wagi nabiera uroczystość, gdy chodzi o uczczenie pisarza tej miary i tego znaczenia, co Jan Zacharjasiewicz.

W plejadzie znakomitych powieściopisarzy, którzy przyszli po plejadzie wielkich poetów, żeby na swój sposób snuć dalej narodowej »myśli przędzę i uczuć kwiaty«, Zacharjasiewicz zajmuje wybitne a zupełnie odrębne stanowisko. Rozpocząwszy działalność w czasie pierwszego rozkwitu naszej powieści, gdyż już w r. 1855, mając lat 30, wystąpił z pierwszym utworem na wiekszą skalę p. t.: »Uczony«, doczekał się obecnie epoki ponownego rozkwitu powieściopisarstwa polskiego, a pióra nie złożył i jak był jednym z przodowników w pierwszym okresie, tak nim pozostał i w drugim. Był nawet czas, kiedy dawne szeregi powieściopisarskie śmierć przetrzebiła, a Kaczkowski na długie lata umilkł, że Zacharjasiewicz wraz z Kraszewskim i Jeżem, niemal wyłącznie na swych barkach dźwigali całą twórczość polską. Toteż słuszną nagrodą był im wtedy głos opinji publiczej, która z upodobaniem trójce najznakomitszych poetów naszych, t. j. Mickiewiczowi, Słowackiemu i Krasińskiemu, przeciwstawiała jako trójcę najwybitniejszych powieściopisarzy: Kraszewskiego, Jeża i Zacharjasiewicza. Każdy z nich był samodzielny i odrębny, a wszyscy trzej się nawzajem uzupełniali, łączyło zaś ich to, że powieściom swoim dawali podkład z żywotnych kwestji społecznych. Jednakże z Kraszewskim Zacharjasiewicz miał wspólną do pewnego stopnia niezwykłą płodność autorską i wielką znajomość codziennych, powszednich potrzeb ogółu. Toteż około stu tomów, jakie przez czterdzieści lat od »Uczonego« aż do »Chleba« wyszły z pod pióra Zacharjasiewicza rozeszły się szybko po społeczeństwie, wsiąkły w nie, stały się jego duchową własnością, a twórcy swemu zyskały miano jednego z najpopularniejszych autorów polskich.

Dwojakie bywają podstawy popularności znakomitych pisarzy w społeczeństwie. Jedni z nich, nieszczęśliwi nieraz za życia, a wielcy po śmierci, to ci, co obalają dawne sztandary a na ich miejsce wznoszą inne, co tworzą nowe kierunki, torują sobie drogi w dziewiczym lesie zastarzałych pojęć. Choć późno najczęściej, lecz i dla nich przychodzi czas uznania i sławy.

Ale bywa też inny rodzaj popularności. Zyskują go pisarze o usposobieniu łagodnem, subtelnem, którzy umieją wsłuchiwać się w pragnienia i dolęgliwości społeczeństwa i dają im wyraz w swoich utworach. Owoż taką to »harfą eolską«, na której wygrywają prądy, przechodzące ogół, jest także Zacharjasiewicz. I w tem jest on znów podobny do Kraszewskiego, od którego więcej jeszcze może posiadał tej dziwnej łatwości przystosowywania się do społeczeństwa, przeczuwania niemal zwrotów i przemian w jego łonie. Toteż nie zdarzyło się nigdy, aby Zacharjasiewicz stanął w sprzeczności z narodem, aby go uraził, dotknął swem słowem. Drażliwe, a nawet niekiedy tragiczne nieporozumienia autora z publicznością, które tylu pisarzom życie zmąciły, nigdy nie zachwiały jego twórczością. On niemal zawsze otrzymywał aprobatę społeczeństwa na swoje tendencje.

Bo we wszystkich swoich utworach Zacharjasiewicz jest tendencyjnym. Spokojny, rozważny, umiarkowanie demokratyczny, lubiący postęp, ale niezbyt wyrywający się naprzód, Zacharjasiewicz przedewszystkiem w utworach swoich ma »dobro ogółu« na oku, upatrując warunek jego w prawidłowym toku spraw drobnych, codziennych i tem przypomina bardzo innego naszego powieściopisarza, mianowicie Józefa Korzeniowskiego. Tendencja jego jednakże miała częściej charakter polityczny, podczas gdy u Korzeniowskiego była obyczajową. Utwory Zacharjasiewicza były jakgdyby sygnałem, w którą stronę zwraca się uwaga społeczeństwa. Powieść »Na kresach« n. p. stanowiła oznakę, że ogół nasz poczyna rozumieć, jakie niebezpieczeństwo grozi nam w Wielkopolsce ze strony germanizacji. »Św. Jur« powstał pod wpływem zainteresowania, jakie obudziły ówczesne agitacje wśród Rusinów. Zaledwo zaś społeczeństwo, przeładowane czułostkowościami wybujałego romantyzmu, dostało z tego powodu pierwszej czkawki obrzydzenia, Zacharjasiewicz w sonecie »Do myśli« i innych utworach zwraca się ku trzeźwości poglądów. I w ten sposób od początku do dziś powieściopisarz ten i społeczeństwo spotykali się zawsze na głównych drogach swoich dążności.

Takim samym jak pod względem społecznym jest Zacharjasiewicz i jako artysta. Miara panuje u niego nad wszystkiem, to też jak mało kto umie on podobać się wszystkim i przez to zmusić niejako do czytania nawet tych, co czytać nie chcą. Umie być świeżym, umie być nowym,

umie być zawsze młodym, jak to wskazują ostatnie nawet jego powieści.

Miał też prawo autor, tak pełen młodzieńczej żywotności, wyrzucać ostro w »Człowieku bez jutra« późniejszej młodzieży jej brak krewkości i samodzielności, jej apatję, bo się czuł młodszym nieraz od niej. W tej młodzieńczości Zacharjasiewicza leży przedewszystkiem tajemnica jego niegasnącego powodzenia i jego nieustannej a zawsze pomyślnej pracy dla ogółu. W tym jednym przymiocie, jak się nam zdaje, wszystkie inne się zawierają. Toteż w dzień jubileuszu jedno tylko przeszlemy mu życzenie: »Pozostań i nadal tak młodym«.



OGNIWA.

Przez

Elizę Orzeszkową.



(Ciąg dalszy.)

Po kilku minutach obydwaj siedzieli pochyleni nad stolikiem, zatopieni w pracy rozbierania zegarka i oglądania różnych jego części. Rogowa oprawa okularów przerzynała linjami ciemnemi ich pomarszczone czoła, policzki, skronie i ginęła nad uszami w siwych włosach. Za wielkiemi szkłami oczy nabierały coraz większego skupienia, a światło lampy zapalało w nich srebrne połyski. Pracując, rozmawiali, ale już tylko o przedmiocie zajęcia swojego, bo w tej chwili wszystko, co pracą nie było, uleciało bez śladu z ich pamięci. Czasem milkli i przypatrując się, probując, majstrując, od wielkiego natężenia uwagi zaczynali oddychać przeciągle i głośno. Czasem zamieniali między sobą urywane zdania:

— Widzisz, widzisz, ot gdzie licho.

— Jeżeli tu, to my licho ztąd wypędzim! ale mnie zdaje się, że ono gdzieindziej.

Ale czasem zaczynali się sprzeczać.

— Co ty robisz? to nie tak! — niespokojnie mówił hrabia.

Żyd odpowiadał uspokajająco.

— Niech jasny pan nie lęka się, jasny pan zaraz zobaczy, co z tego będzie...

— Ależ nic z tego nie będzie!... tu pociśnij... stamtąd wyjm...

Wtedy żyd głos podnosił i prawie krzyczał:

— Jasny pan ma omyłkę... tu jest takie delikatne sprężynki, że jasny pan ich nie widzi.

A hrabia także podniesionym głosem wołał:

— A to mi się podoba! Ja miałbym czegokolwiek nie dostrzegać w tym zegarku...

Ale zobaczywszy, że żyd po swojemu, lecz dobrze robi, mruczał z cicha:

— A prawda, prawda! miałeś rację!...

Tamten także, już uspokojony, pomrukiwał:

— Kiedy idzie o moją robotę, to ja zawsze mam rację...

Znowu milkli, przyglądali się, majstrowali, przybliżali ku sobie czoła poprzerzynane zmarszczkami i ciemnemi linjami okularów, mieszali nad stołem ręce zwiędłe z delikatnemi ruchami palców suchych; oddechy ich głośne i przeciągłe łączyły się ze szmerem zegarów, płynącym dokoła falą nieustanną.

Wtem z tej fali szmeru suchego i śpiesznego wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy! Za czwartem uderzeniem przybiegł mu wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: raz, dwa! A za trzeciem uderzeniem swojem dostał wtór głosów innych, którym wnet przybiegły z pomocą jeszcze inne, aż chór cały, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i dwóch głosów, kończących wygłaszać godzinę dziesiątą.

Dwaj ludzie podnieśli z nad stołu głowy i opuścili na kolana ręce. Żyd mówił z uśmiechem:

— Nu, jasny pan dobrze zna się na zegarkach... Już ja widzę, że jasny pan ma do zegarków takie upodobanie, jak dawniej miał do bystrych koni i pięknych panienek.

Hrabia wesoło też odpowiedział:

— To prawda, mój Berku, to prawda, że nabrałem tego zamiłowania niewiedzieć jak i dlaczego? Ot różne dziwactwa czepiają się starości...

Żyd skrzywił się i z niezadowoleniem zaczął mruczeć:

— Dziwactwo? jakie to dziwactwo? Dlaczego to ma być dziwactwo? Zegarek, to jest piękna maszyna i temu rozumowi ludzkiemu, co ją wymyślił, honor robi. Czy ona kogo zabija, jak, nie przymierzając, fuzja albo armata? Czy ona kogo truje, tak jak te maszyny, co w wielkich fabrykach różne paskudztwa ludziom w gęby sypią? Zegarek, to dla człowieka przyjaciel; on jest z nim, kiedy wesoło i kiedy smutno: on jemu pokazuje, o której porze co robić; on gada, kiedy nikt do człowieka nie zagada; on jego uczy, że czas płynie i że on na tym czasie, jak na wielkiej rzece, też płynie do ogromnego morza...

Machnął ręką i dokończył:

— Wie jasny pan co? On dla człowieka czasem lepszy przyjaciel, jak drugi człowiek, bo on nigdy nie kąsa! Chi, chi, chi!

Zaśmiał się z cicha, ale hrabia z zamyśleniem słuchał mowy jego i potakując mu odrzekł:

— Rozumną rzecz powiedziałeś: ta gadająca maszyna jest z człowiekiem, kiedy wesoło i kiedy smutno... Czy wiesz, że ten mój zegarek był ze mną już wtedy, kiedy to, jak powiadasz, miałem zamiłowanie do bystrych koni i pięknych panienek...

— Aj, aj! — cmoknął żyd — taki młody panicz miał już taki drogi zegarek!

Hrabia uśmiechnął się.

— Nigdy nie brakowało mi drogich rzeczy, ale zabrakło nieraz osób drogich... Nigdy nie zapomnę chwil przedśmiertnych mojej matki... Doktor powiedział, że śmierć zbliżać się będzie wtedy, gdy puls słabnąć zacznie, i poszedł spocząć, bo był strasznie znużony i niewyspany. Sam jeden zostałem przy jej łóżku i często z zegarkiem w jednej ręce a jej ręką w drugiej badałem... czy już się zbliża?... Im więcej zbliżała się, tem rzadszem było uderzenie pulsu i zdawało mi się, że tem szybciej posuwała się wskazówka zegarka. Posuwała się, a w tej lilji, którą pamiętasz, puls ustawał, ustawał... aż ustał. To, co zbliżało się, przyszło. Na zegarku było pięć minut i trzy sekundy po północy...

Żyd z wilgotnemi oczyma głową trząsł potakująco i zegary na ścianach szemrały chórem: tak-tak, tak-to-tak, tak-to-tak, tak-to-tak.

Otrząsając się ze wzruszenia, hrabia zażartował:

— A nie uwierzysz, mój Berku, jaka go żywość czasem napadała! Kiedy raz kochałem się w pewnej pani, a mogłem z nią bywać zawsze bardzo krótko, ile razy ukradkiem na niego spojrzałem, złość mię porywała taka, że gdyby tylko wypadało, byłbym go cisnął o ziemię. W myśli łajałem go: »Nie lećże tak, głupcze! Postój sobie, wypocznij, i niech razem z tobą czas się zatrzyma!« Ale on nie słuchał; leciał, i szczęście moje odleciało!

Żyd z cicha zapytał:

— A czy jasny pan zawsze spał dobrze w nocy?

Hrabia uczynił ręką gest ironiczny.

— A kiedy jasny pan nie spał, to czy myśli jasnego pana były zawsze wesołe? Nu, ja sam wiem, że one czasem musiały bywać niewesołe. A kiedy jasny pan leżał w ciemności, z niewesołemi myślami w głowie, to może on wtedy bardzo pomału szedł?

— Jednak szedł — odpowiedział hrabia - i noce czarne przeciągały...

— A kiedy one przeciągały, wszyscy spali, tylko on jeden do jaśnie pana gadał... a co on gadał? On jasnego pana pocieszał, że i ta czarność przejdzie...

— Jak wszystko przechodzi — dokończył hrabia i na parę minut zamyślił się głęboko. Czuł się zdziwionym! Po co on tak długo tu siedzi i tak poufale rozmawia z tym łapserdakiem?

Znał go niegdyś! Cóż ztąd? Wspólnych wspomnień przecież mieć nie mogą, ani w ogóle wspólności żadnej. Nie był dumnym i miał wrodzoną życzliwość dla ludzi, niemniej wiedział, jaka przepaść różnic rozmaitych dzieli go od Berka, niegdyś syna pachciarza, a obecnie zegarmistrza z podrzędnej ulicy miasta. Poprostu różnili się wszystkiem i nie było pomiędzy nimi podobieństwa żadnego. Wszedł tu, aby oddać zegarek do naprawy, i zasiadł na długie godziny. Co więcej, wcale nie chciało mu się odchodzić i prawie niespodziewanie dla samego siebie zapytał:

— Jakże ci się powodziło, mój Berku? Jak powodzi się teraz? Czy masz rodzinę i dostateczne środki do życia?

Żyd podziękował za te pytania życzliwe i dość obszernie odpowiadać zaczął.

Bogatym nie był, kapitałów nie zebrał, ale środki do życia miał jakie takie i nędzy nie cierpiał. Pracował jeszcze i zarabiał tyle, ile potrzeba na życie — a ile mu tam potrzeba teraz, kiedy jest już sam i ma przy sobie jedną tylko wnuczkę, która go dogląda i także szyciem trochę zarabia. Rodzina liczna, kilkoro dzieci, kilkanaścioro wnuków, ale to wszystko...

Machnął ręką.

— Wie jasny pan co? Jest taka zagadka i ja bardzo ciekawy, czy jasny pan zna ją, czy nie zna... Jakim sposobem to może być, żeby człowiek miał familję i razem nie miał familji?

Mówiąc to, zatopił w twarzy hrabiego wzrok badawczy i trochę filuterny.

— Nu, czy pan tę zagadkę zna?

Po ustach hrabiego przesunął się uśmiech ironiczny.

— Znam tę zagadkę, Berku, znam bardzo dobrze...

C. d. n.



Zapomniane hasła.

(Mowa Robespierre'a w sprawie powszechnego głosowania, w zgromadzeniu narodowem 25. stycznia 1790.)



Wahałem się przez chwilę, czy mam wam przedstawić mój pogląd na rezolucje, które, jak się zdaje, zostały przez was przyjęte. Ale mam tu do wyboru: albo bronić sprawy narodu i wolności, albo też, milcząc, zdradzić ją, — i nie wstrzymuję się dłużej. Przedsiębiorę zaś to zadanie z ufnością tem większą, że nakazujący głos sprawiedliwości i dobra powszechnego, który mię do tego zniewala, i u was posłuch znajdzie i że na poparcie mych słów biorę wasze własne zasady, wasze własne pomysły.

W jakim celu zgromadziliśmy się w tej świątyni praw? Ażeby narodowi francuskiemu przywrócić używanie praw nieprzedawnionych, które

są własnością wszystkich ludzi. To jest celem naszej konstytucji politycznej. Jest ona sprawiedliwą, wolną, gdy celowi temu służy, staje się zbrodnią względem ludzkości, gdy mu się sprzeciwia. Wyście sami z największą stanowczością prawdę tę uznali, nakazując, aby przed rozpoczęciem waszego wielkiego dzieła, uroczyście ogłoszono następujące święte prawa, jako jedyne zasady przewodnie:

»Wszyscy ludzie są i pozostaną wolni w swych prawach. — Władza najwyższa spoczywa tylko w ręku narodu. — Ustawy są wyrazem woli narodu. — Wszyscy obywatele mają prawo, bądź osobiście, bądź przez reprezentantów, brać udział w ich uchwalaniu. — Wszyscy obywatele bez wyjątku, uwzględniając tylko różnice talentów i cnót, mają dostęp do wszelkich urzędów publicznych«.

Oto zasady, któreście sami uświęcili. Teraz łatwo mi będzie ocenić, jak na to zasługują, te rezolucje, z któremi walczyć zamierzam. Dość będzie, gdy je zestawię z niezmiennemi zasadami społeczności ludzkiej.

Czy prawo jest wyrazem woli powszechnej, gdy większa część tych, dla których ono zostało uchwalone, pod żadnym względem nie przyczynia się do tej uchwały? Nie. Ale gdy się wszystkim, którzy nie płacą podatku w wysokości płacy roboczej za trzy dni, odbiera prawo obioru wyborców, mających mianować członków zgromadzenia ustawodawczego, czyż to nie równa się zupełnemu wykluczeniu znacznej większości Francuzów od udziału w stanowieniu praw? Czyż takie postanowienie nie jest całkowicie antykonstytucyjne?

Czyż ludzie mają równe prawa, gdy jedna część wyłącznie dostarcza członków ciał ustawodawczych i innych instytucji publicznych, a druga może tylko mianować pierwszych, ale jest pozbawiona wszystkich praw, które przysługują tamtym? Nie! A przecież tak orzekają te sprzeczne z wymaganiami natury różnice, które znajdujemy w dekretach, określających warunki, nadające obywatelowi prawo wyborcze czynne lub bierne, czyniące go nawpół uprawnionym i nawpół nieuprawnionym do głosowania, stosownie do wielkości jego majątku, pozwalającego mu płacić bezpośredni podatek w wysokości trzydniowej płacy roboczej lub franka srebrem. Czyż wszystkie te postanowienia nie są z istoty swej anty-konstytucyjne?

Czyż wszyscy obywatele bez wyjątku, z uwzględnieniem tylko różnicy talentów i cnót mają dostęp do wszelkich urzędów publicznych, jeżeli, pomimo owych cnót i talentów, sama niemożność zapłaty żądanego podatku, pozbawia ich tego prawa? Nie; wszelkie podobne postanowienia z istoty swej są anty-konstytucyjne.

Czyż wreszcie naród dzierży w swem ręku władzę najwyższą, skoro znacznej liczbie składających go jednostek wydziera się prawa polityczne, które tę władzę stanowią? Nie. A przecież widzicie, jak te właśnie dekrety większość Francuzów owych praw pozbawiają. Czemże staje się wobec tych dekretów wasza deklaracja praw człowieka? Czczą formułą. Czem staje się naród? Niewolnikiem: bo wolność polega na tem, iż obywatele posłuszni są prawu, które sami stanowią, niewola zaś na uległości woli cudzej. Konstytucja stanie się prawdziwie arystokratyczną, gdyż taki stan rzeczy, przy którym jedna część obywateli rządzi wszechwładnie, druga zaś ulegle słucha, zowie się arystokracją. I jakąż jeszcze arystokracją! najgorszą ze wszystkich — arystokracją bogaczy.

Wszyscy zrodzeni we Francji i tu osiedli ludzie są członkami społeczności politycznej, która zowie się narodem francuskim, t. j. francuskimi obywatelami. Stają się nimi siłą rzeczy i na mocy pierwszych zasad prawa narodów. Prawa przywiązane do tego tytułu nie zależą od majątku, który obywatel posiada, ani od natury podatków, które płaci, gdyż nie podatek obywatelstwo nam nadaje. Godność obywatelska wymaga tylko, by każdy, wedle swej możności, opodatkował się na rzecz wspólnych potrzeb państwa. Możecie zatem dawać obywatelom prawa, nie w waszej jednak mocy pozbawiać ich godności obywatelskiej.

. . . .

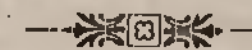
(D. c. n.)



OSTATNI PRZYJACIEL.

Skreślił

S. EŁPATJEWSKI.



Na skraju głuchej tajgi* wznosi się mała sybirska wioska, w zimie zasypywana śniegiem, w lecie opuszczona przez ludzi, którzy wychodzą za chlebem. Smętne wrażenie wywiera widok kilkunastu owych chat, zacieśnionych z jednej strony głuchą ścianą na tysiące mil ciągnącej się tajgi, a z drugiej olbrzymią, głęboką, na sześć kilometrów szeroką rzeką.

W chałupce, nawpół w ziemię zapadłej, u stóp skały, stromo piętrzącej się nad rzeką, mieszkał młodzieniec z wiernym towarzyszem doli i niedoli, a towarzyszem owym był — pies Hektor.

Jęki tajgi nie milkną tam nigdy, a ponura rzeka uderza bez przerwy zimną falą o skałę

* Tajga — puszcza sybirska.

z głuchą jakąś skargą; słońce tam nie grzeje, jesienne noce końca nie mają, kwiaty nie ronią zapachów, ptaki śpiewać nie umieją.

A młodzieniec był przybyszem z dalekiego kraju — z kraju, gdzie nad wiosennym zasiewem dźwięczy srebrzyście śpiew skowronka, a w dojrzewającem życie ukryta przepiórka nawołuje żniwiarzy; gdzie w powietrzu ulatuje słodki zapach kwitnącej jabłoni, a w cichych zaroślach nad stawem słowik śpiewa namiętną pieśń miłości; gdzie rzeki szemrzą łagodnie, lasy kołyszą się pieszczotliwie, a stepy marzą w śnie pogrążone, gdzie światłem nalany przestwór oddycha ciszą i spokojem.

Pogodnym, radośnym dniem wydawało się wówczas młodzieńcowi życie, a świat był w jego oczach urodzajną, słoneczną, dla wszystkich dostępną niwą. I w tym słonecznym świecie nie powinna była istnieć nienawiść ani złość ludzka.

I młodzian nie wątpił, że ludzie przestaną się krzywdzić wzajemnie i oczekiwał chwili — niedalekiej jego zdaniem — gdy na odrodzonej ziemi serca ich zespolą się braterstwem, a z piersi popłynie hymn miłości, niemniej radośny od pieśni skowronka w lazurach nieba, nad zoraną wiosennym pługiem glebą...

A tajga wciąż wyła bez przerwy i w tym jednostajnym, niemilknącym szumie było coś niezłomnego, nakazującego, despotycznego.

I młodzian zaczął się lękać tajgi.

W dzień szum go nie nękał tak bardzo, bo wówczas wygnaniec nosił drzewo, kopał ziemię w malutkim swym ogródku, gotował obiad i odbywał dalekie spacery z nieodłącznym swym towarzyszem Hektorem. Ale gdy zapadał wieczór, zapalały się drewka w niewielkim piecyku, który ogrzewał chałupkę w jesienne i zimowe wieczory, a człowiek i pies siadali na podłodze przed ulubionym sobie ogniem, wówczas tajga napełniała wnętrze chaty tajemniczym szeptem, jednostajnym, ponurym, nito coś opowiadając, nito czegoś się domagając.

Zdarzało się atoli, że tajga, jakby wysilona, milkła, a wtedy nic nie mąciło martwej ciszy. Milczała wyludniona wieś, milczała tajga i cała okolica zdawała się zamarłą, a grobowy ów spokój, przedłużając się, przejmował strachem młodego wygnańca. Biegł on w takich chwilach ku rzece i całe godziny spędzał na skale, wpatrując się w posępne zarysy gór, siniejących za rzeką, w obumarłą tajgę i ciemną falę rzeki, która się tłukła u jego stóp, niosąc swoje wody w bezbrzeżny, martwy, zimny ocean. I w miarę wpatrywania się świat zaczynał dokoła niego wirować i zdawało mu się, że go rzeka przyciąga, porywa i unosi ze sobą. Wracał więc pośpiesznie do nędznej chałupiny i wyczekiwał z natężeniem, aby tajga przemówiła co rychlej — wyciem.

I znowu tajga jęczała, a przed płonącym ogniem siedział człowiek i w głowie jego szumiały myśli tak uporczywe, tak natrętne, jak jednostajny, niemilknący jęk tajgi. I człowiek ten zaczynał pojmować z przerażającą jasnością, że to, w co wierzył dotąd, zawiodło go, a czego wyczekiwał, nie zbliża się ku niemu, że świat jest ciemny, jak zmierzch jesiennego dnia, a tak ciasny, jak ów płat ziemi między rzeką a tajgą, który on teraz zamieszkuje i że wypełnia ten świat wycie ponure, jak odgłosy tajgi, a zbolałe istnienia ludzkie płyną z nieubłaganą koniecznością, jak fale rzeki, w chłód i grozę, którym na imię: śmierć. I myśl ta snuje się i snuje, do wtóru jękom tajgi, jak nić z niekończącego się nigdy kłębka.

Wygnaniec rozmyślał z boleścią, że krewni jego pomarli, a blizcy, których kochał, rozproszyli się po świecie i zniknęli niby garść liści, jesiennym porwanych wichrem i uniesionych, kto wie, w jakie przestworza. I coraz głębiej wpija się w jego mózg przekonanie, że to, co stanowiło treść dotychczasowego jego życia, już się skończyło, że między nim a przeszłością stanęła tajga i że w przyszłości nie oczekuje go nic prócz owej tajgi i tęsknoty i chłodu i ciemności!

Nagle coś strasznego zadźwięczało w szumie tajgi — zdawała się ona wołać wyraźnie: »umrzyj, umrzyj!«

W pobliżu nie było nikogo, w kim łzy dorosłego człowieka mogłyby wzbudzić śmiech i wygnaniec płakał, zgnębiony niewymowną boleścią, która ściskała jego serce, a w której była i litość nad sobą samym, i żal złamanego życia, i groza przed tem, co mówiła tajga.

A kiedy siedział tak wieczorami, pogrążony w zadumie, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w czerwone, jakby krwią oblane węgle, Hektor wciskał głowę pod splecione na kolanach jego ręce, lizał mu twarz, skomlił przeciągłem, żałośnem wyciem. I pod wrażeniem tej pieszczoty, tego obcego smutku, ból ostrzejsze jeszcze szpony zapuszczał w duszę młodzieńca, i otaczając ramieniem szyję jedynego przyjaciela, łkał on teraz już głośno.

Wolno płyną sybirskie wieczory jesienne. Tajga sroży się, opiera, nie chce zasnąć zimowym snem i po całych dniach wyje złowrogo zlodowaciałemi igłami. I wściekle szamoce się wówczas rzeka, a stygnące jej fale wskakują w przedśmiertnych konwulsjach wysoko na skałę; deszcz smaga okna igłami z lodu, wiatr uderza z szaloną siłą o ściany, wciska się przez szpary do nędznej chałupy, przewiewa ją nawskroś, a jego oddech rozżarza przygasające węgle i płomień oświeca człowieka i psa, siedzących na podłodze przed piecem. Wolno pełznie samotna myśl w takie wieczory. Przyćmione grozą, suche, oddawna nie wylewające łez oczy wpatrują się w ogień z tępą biernością, bez oporu, bez walki.

Na przelotną chwilę — niby siny płomyk w popielejących węglach — budzą się w mózgu

strzępy wspomnień z przeszłości: migną w oddaleniu stare wierzby, przyglądające się w nieruchomym stawie, błyśnie uśmiech na ukochanej twarzy, zadźwięczy dawno zapomniane słowo oddalonego przyjaciela i znowu suche oczy wpatrują się bezmyślnie w konający blask węgli.

Węgle dopaliły się i płomyk zgasł, — a w sercu wygnańca dopaliły się młodzieńcze pragnienia i zgasło życie! Hektor znajdował się wówczas poza domem, gdy wrócił, nie zastał nawet ciała, zabrano je, a w chacie, zamiast jego przyjaciela, krzątali się obcy ludzie. Pies rzucił się ku czerwonej, krwawiącej podłogę plamie, a potem wypadł z chaty, biegał po ogrodach i skałach, na których przyjaciel jego lubił siadywać, poleciał do tajgi, dokąd razem chodzili po drzewo, a nie znalazłszy go nigdzie, wrócił, znowu węszył czerwoną plamę na podłodze i czerwone bryzgi na ścianie, aż z piersi jego wydobyło się wstrząsające, rozpaczliwe wycie. Niebawem znikł z chaty i puścił się drogą, wiodącą do innej, równie małej wioski, opasanej tą samą rzeką i tajgą, gdzie na spadzistości skały wznosiła się chatka, w której złożono zwłoki jego przyjaciela.

Zapadła noc; przed progiem chaty płonęło ognisko, dokoła siedzieli ludzie i strzegli tego, co już odszedł na wieki, a tutaj pozostawił tylko zimne, blade ciało, które teraz spoczywało na wiązce słomy, rzuconej na klepisko sybirskiej chaty.

Ci stróże trupa nie mogli dać sobie rady z szalejącym, strasznym psem czarnym, który wypadł na nich z tajgi i szarpał się, rzucając ku zamkniętym drzwiom i wył przeciągle, rozpaczliwie... Pies uciekł nakoniec, smagany niemiłosiernie i przepadł w tajdze, a stróże pokładli się dokoła ogniska i usnęli.

Krewni, ani przyjaciele nie mogli skrapiać łzami zimnych zwłok młodzieńca, ale tajga do późna w noc śpiewała nad nim pogrzebowe hymny, a fala rzeczna uderzała z cichem, niemilknącem szlochaniem o posępną skałę.

I ciemnosć otuliła kirem ziemię: płomię ogniska chwiało się, jak światło pochodni, a rzadkie gwiazdy błyskały w górze, niby przyćmione gromnice.

Zima zawitała na sybirską ziemię tej właśnie nocy. Jeden za drugim padały puchowe płatki śniegu na przygasłe węgle ogniska, a topniejąc natychmiast, migotały, niby świecące łez krople... Zimne łzy gasiły stopniowo dogorywający ogień, aż biała ruchoma zasłona rozpostarła się, jak całun nad wzruszoną rzeką i tajgą jęczącą, a zniżając się coraz bardziej, ogarnęła niepokalaną bielą i nędzną chatynkę, w której spoczywał młodzieniec.

I coraz rzadziej wzdychała tajga, coraz ciszej szlochała rzeka, aż skończył się obrzęd żałobny — ognisko zgasło, gwiazdy się zaćmiły.

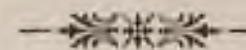
Wtedy przyszedł ostatni przyjaciel. Silną piersią wysadził okienko chaty i przez całą noc lizał marznące oblicze młodzieńca, wciskał głowę pod sztywne jego ręce w nadzieji, że zmarły obejmie go, przytuli, jak dawniej, i przez całą noc ciche, żałośne skomlenia rozlegały się w pustej chacie.

Kiedy z rana przyszli ludzie i otworzyli drzwi, oczom ich przedstawił się niezwykły widok: na słomie leżał zbielały od szronu, zmarzły trup młodzieńca z rozrzuconemi szeroko rękami, a na piersiach trupa srożył się złośliwy pies, wyszczerzał białe, ostre zęby i warcząc groźnie zachrypłym głosem, bronił przystępu do zwłok przyjaciela...

Tłumacz. *M. W.*



Z bieżącej literatury.



(»Kres«, powieść współczesna A. Krechowieckiego. — »Sam na sam«, nowele i szkice Zygmunta Niedźwieckiego. — »Perepictyha, kniahini na Ukrainie«, napisał Szczęsny Morawski. — »Wybór nowel i opowiadań«, Bibljoteka dla młodzieży t. 12, wydał Henryk Kopia).

(Ciąg dalszy).

Autorem młodym i z wieku i z lat pracy literackiej jest natomiast Zygmunt Niedźwiecki. Mimoto pisze łatwo, pisze dużo, a trzymając się wyłącznie noweli, wzorowanej niejednokrotnie na francuskich mistrzach, wydał już kilka tomików. »Sam na sam«, tak zatytułowany od pierwszego szkicu, jest już piątym zbiorkiem autora, obejmującym czternaście utworów. Niedźwiecki ma wielką łatwość w wynajdywaniu tematu, a skoro już go znajdzie, zdaje sobie z niego sprawę nadzwyczaj jasno, opowiada swobodnie, bez przymusu. Obserwować umie a nawet zdolnym jest do niemałej subtelności psychologicznej, jak tego mamy dowód w »Kobiecie z gipsu« lub »Zjeździe koleżeńskim« wśród szkiców ostatniego zbiorku. A przecież czytając nowele Niedźwieckiego, który ma wszelkie warunki na wybitnego nowelistę, czujemy, że im czegoś i to ważnego niedostaje. Jednem słowem: »Pesymizm«, krótko zcharakteryzowaćby można ogólny nastrój tych nowel. Tak, ale pessymizm bezbrzeżny, beznadziejny, pessymizm zaprzeczający wszelkiemu pięknemu porywowi człowieka, pesymizm który wyklucza i »słońce poetów« miłość, niekoniecznie miłość kobiety, ale miłość ludzi, idei, natury, czegokolwiek wreszcie na świecie. Jest to pesymizm, stwarzający w nowelach Niedźwieckiego namiętność, która rozkłada a nie pali, ludzi, co jakby

pokryci są zimnym potem płazów. Autor sam pesymizm tego rodzaju scharakteryzował dobrze w szkicu, zatytułowanym »Chory«. »Przyniósłszy we krwi chorobliwą wrażliwość na rzeczy złe i brzydkie, — czytamy tam — urodziłem się na pesymistę, mizantropa, zwierzę o tyle różne od swych bliźnich, że zatruwa sobie życie pogardą dla nich i dla siebie«, a dalej: »Niestety — choroba moja silniejszą jest od mego doświadczenia i od instynktu. Raz starłszy z oczu to bielmo praktyczności, które pozwala, patrząc na brudy życia, nie widzieć ich, a przynajmniej nie odczuwać, nie jestem już w stanie ślizgać się spojrzeniem i myślą po wierzchu ludzi i czynów pięknych jak muchomór, jak on zatrutych — i męczę się, męczę niewypowiedzianie w pewnych chwilach, widząc wszystko na wskróś ku memu nieszczęściu«. W całej tej charakterystyce jedną tylko poprawkę uczynić należy, a to, że autor rzeczy nie »widzi na wskróś«, ale jednostronnie je tylko ogląda. Tym pessymizmem, jak śniedzią, są powleczone wszystkie nowele zbiorku — wszystkie, prócz »Zjazdu koleżeńskiego«, który pozwala przypuszczać, że przecież może autor ze sobą na świat »nie przyniósł we krwi chorobliwej wrażliwości na złe i brzydkie«, że to tylko cecha nabyta! Wierzymy w to chętnie, bo szkoda nam takiego talentu dla rzeczy wyłącznie brzydkich i szpetnych. Do Niedźwieckiego po przeczytaniu jego nowel ma się ochotę zawołać słowami J. Kasprowicza:

Rzuć z siebie duszo, te pożółkłe liście,
Stań się, jak zdrowe te byty, co wierzą
W radość wiosenną, w ciepłych blasków przyjście!

Przejdźmy z kolei do utworu, który na pozór przez formę swą powieściową, do literatury pięknej należy, lecz w istocie na inny ton nastrojony, służyć ma celom dydaktycznym, pedagogicznym do pewnego stopnia. Jest to »Perepietyha«, opowiadanie p Szczęsnego Morawskiego, na czasach pra-Słowian oparte. Nawiązując do dwóch mogił na Ukrainie, Perepiety i Perepietyhy, autor przypuszcza, że to grobowiska pierwszej pary książęcej, a zarazem założycieli Kijowa. Opowiada dzieje ich, a zwłaszcza kniahini Perepietyhy i rozsnuwa przy tej sposobności obraz napadu Skolotów, życia Sarmatów, Kimrów, Polan, Nurów itd.: stara się odtworzyć stosunki jakie z tymi ludźmi mieli Fenicjanie i wpływ ich cywilizacji a nawet języka na owe plemiona, wreszcie zajrzeć pozwala aż do Palestyny za czasów proroka Jeremjasza i w na poły komicznej postaci żydka zabłąkanego między dzikie plemiona północy, uosabia już wówczas budzący się zmysł handlowy Żydów. Obok tej osnowy nagromadził p. Morawski z wielką skrzętnością mnóstwo szczegółów, odnoszących się do natury, roślinności, świata zwierzęcego owych krajów i do życia zamieszkujących je wówczas wedle jego przypuszczenia ludów. O tem, czy autor nie zadaleko wstecz wieków posunął początki Słowian w Europie, czy rozsiane gęsto po książce wyprowadzania licznych nazw i słów słowiańskich z języka fenickiego, jako oparte jedynie na etymologicznem podobieństwie dźwięku wyrazów, mogą mieć powagę naukową, o tem dyskutować nie będziemy, bo autorowi w utworze fantastycznym wolno było ze wszystkich hipotez naukowych wybrać najmniej nawet prawdopodobną. Książki takie zresztą naukowo mają znaczenie nie jako zbiór udowodnionych pewników, ale jako szereg uplastycznionych zapytań, przypuszczeń, zagadnień naukowych, które dla ogółu mają wartość pedagogiczną niejako, bo wskazują, co i gdzie należałoby zbadać. Weźmy z »Perepietyhy« jedno takie zagadnienie o treści językowej, które nasuwa na myśl poważne wątpliwości: czy polskie słowo »szlachcic« pochodzi od niemieckiego *Schlacht*. Dotychczasowy sposób wyjaśniania tego słowa, oparty również na kruchej podstawie etymologicznej, jest mimoto powszechnym, a mało kto zastanawia się jak mało przemawia za nim, bo czemuby Polacy swą szlachtę nazywać mieli od niemieckiego słowa, oznaczającego bitwę, skoro Niemcy swojej szlachty od tego nie nazwali? Dlaczegożby polski wyraz »szlachcic« i niemieckie *Schlacht* nie miały wspólnego pochodzenia z innego wyrazu w trzecim jakimś języku? P. Morawski ów trzeci wyraz upatruje w fenickiej nazwie miecza »szlach«. W takim razie skoro nie jest nieprawdopodobnem, że to Fenicjanie obdarzyli ludy północy mieczami, polski wyraz »szlachcic« oznaczałby człowieka, który miał prawo nosić i nosił miecz, a niemieckie *Schlacht* nie jakąśtam walkę na kije lub pałki, ale poważną bitwę na miecze. I toby warto zbadać naukowo. Dok. n.



PRO MEMORIA.

18. czerwca 1792. Bitwa z Moskalami pod Zieleńcami, w której ks. Józef Poniatowski zwycięsko pobił 8 tysięczne wojsko nieprzyjacielskie.

18. czerwca 1864. W Kazaniu rozstrzelani przez rząd carski: Hieronim Kieniewicz, Iwanicki, Stankiewicz i Mroczek.

20. czerwca 1815. Ogłoszonem zostało Królestwo Polskie, które obejmowało 2214 mil kwadratowych, a więc o 600 mniej, aniżeli Księstwo Warszawskie.

21. czerwca 1849. Mierosławski stoczył wielką bitwę w Badeńskiem pod Waghäusel.

31. czerwca 1768. Ogłoszono w Krakowie Konfederację Barską.

21. czerwca 1863. Zginął pod Straciszkami na Litwie Paweł Suzin, mężny wódz powstańczego oddziału. Suzin, oficer artylerji rosyjskiej, wychowany w moskiewskich szkołach, nie znał prawie ojczystego języka. Ale w stanowczej chwili krew polska zagrała w jego żyłach i wylał tę krew szlachetną w obronie swobód polskiego narodu.

22. czerwca 1863. Bolesław Dłuski pobił Moskali pod Popielanami.

23. czerwca 1818. Zwłoki Kościuszki złożone zostały na Wawelu.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.